

Pamiętniki włościanina



Jan Słomka

Jan Słomka

PAMIĘTNIKI WŁOŚCIANINA OD PAŃSZCZYNY DO DNI DZISIEJSZYCH

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-08-5

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

„Pamiętniki” są nie tylko autobiografią ale także przedstawiają szeroką panoramę polskiej, galicyjskiej wsi w drugiej połowie XIX wieku i w pierwszej połowie wieku XX. Ich autor, żyjący w latach 1842-1932, był przez 45 lat wójtem gminy Dzikowo, która obecnie jest jedną z dzielnic Tarnobrzega.

Spis treści

[Przedmowa autora do drugiego wydania Pamiętników](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Komentarz autora o przeszłości Dzikowa i Tarnobrzega](#)

[Komentarz autora o bitwie pod Komorowem](#)

Przedmowa autora do drugiego wydania *Pamiętników*

Chciałbym choć w krótkości wyjaśnić, jak doszło do tego, że odważyłem się na pisanie *Pamiętników* i ogłaszanie ich drukiem w pierwszym i obecnie w drugim wydaniu.

Do pisania onieśmielało mnie zawsze to, że nie miałem odpowiedniego przygotowania szkolnego, skłaniały zaś ważne okoliczności, w szczególności to, że w ciągu swego życia patrzyłem na ogromne przemiany, jakie wokół mnie zachodziły, zwłaszcza w życiu włościańskim, i uważałem, że pożyteczną rzeczą będzie utrwalić je w książce i przekazać potomności.

Dziś trudno prawie uwierzyć, żeby rozmaite sprawy i urządzenia były na wsi do niedawna jeszcze możliwe. Wydaje się na przykład jakby snem tylko, że przed osiemdziesięciu laty chłop nie miał swojej własności i był tylko jakby zwierzęciem pociągowym; że mieszkanie jego składało się z jednej izby bez podłogi; że chałupy chłopskie były bez komina i dym w nich wychodził drzwiami i oknami, rozchodził się po izbie, w której ludzie wędzili się jak piskorze; że po wsiach nie było szkół i w kościele bardzo rzadko widziało się człowieka, żeby się modlił na książce; że ludzie wsiowi: gospodarze i gospodynie z dziećmi i sługami tym się jedynie odziewali, co sami sobie w swoich gospodarstwach, w domu wytworzyli i przez cały rok grosza za towary bławatne nie wydali; że tylko tym się żywili, co z gruntu swego zebrali itd., itd.

Po wtóre uważałem, że pożyteczną rzeczą będzie zwrócić uwagę na wady, które w przeszłości chłopów gnębiły, jak np. pijaństwo, i podkreślić dobre strony ubiegłych czasów, jak zachowywanie przykazań bożych i kościelnych, poszanowanie dla duchowieństwa i złączoną z tym moralność.

Pragnąłem też przyczynić się do obudzenia w społeczeństwie zainteresowania sprawami moich braci włościan, do zjednania im jak najwięcej życzliwych przyjaciół, którzy by pomogli im w ich trudach i ciężkim położeniu i prowadzili ku lepszej przyszłości. Dziś wielka rzesza chłopska stanowi siłę przeważnie nie zużytkowaną, jest jakby polem leżącym odłogiem, gdyby zaś miała dostateczną ilość światłych przodowników w dziedzinie gospodarczej, oświatowej i życiu publicznym, rozwinęłaby się w narodzie ogromna, niezmierzona siła, na podziw świata.

Przy tym syn mój, gdy odbywał studia uniwersyteckie, przysłuchując się moim opowiadaniom o dawniejszych czasach, zachęcał mnie niejednokrotnie do pisania *Pamiętników*, a skoro zabrałem się do tej pracy, porządkował wzrastający materiał, uzupełniał miejscami na podstawie moich wyjaśnień, zaopatrywał w przypisy, słowem, przygotował do druku.

Wreszcie pierwsze wydanie *Pamiętników*, które wyszło w roku 1912, spotkało się powszechnie z nader przychylnym przyjęciem. Wszystkie prawie gazety polskie pomieściły o nich przychylne oceny, niektóre poświęciły im wstępne artykuły. Prócz tego po pierwszym wydaniu otrzymałem wiele listów, z których niektóre pochodziły od wybitnych osobistości i były dla mnie szczególnie zaszczytne.

Pamiętniki w pierwszym wydaniu szybko się rozeszły. Dotarły wszędzie, gdziekolwiek znajdują się Polacy, bo emigranci przyjeżdżający z Ameryki mówili z radością, że czytane są tam przez ludność polską, jeńcy zaś, powracający po wielkiej wojnie z niewoli rosyjskiej, opowiadali, że spotykali się z nimi u Polaków na Syberii.

To życzliwe przyjęcie pierwszych *Pamiętników* wyrażane ustnie, w listach i prasie zachęciło mnie do przygotowania drugiego wydania, które wychodzi znacznie rozszerzone w rozdziałach, dotyczących dawniejszych czasów, nadto powiększone nowymi rozdziałami z czasów wojny światowej i Polski niepodległej.

Niech idą w świat i krzepią ducha narodu, niech z tego, co już należy do przeszłości, płynie nauka na przyszłość. Niech im towarzyszy błogosławieństwo Boże.

W Dzikowie, w kwietniu 1929 roku. Jan Słomka.

Rozdział 1

Wieś rodzinna. Przesiedlanie się chłopów z Królestwa Polskiego do Galicji. Wspomnienia z roku 1846. Śmierć ojca. Szkołka w Dzikowie. Lata wyrostka. Uwolnienie od wojska i ożenek. Początek gospodarki. Powstanie w roku 1863.

Wieś moja rodzinna Dzików leży nad Wisłą w powiecie tarnobrzesckim, tuż pod Tarnobrzegiem, przy granicy b. Królestwa Polskiego, rozciąga się na wzgórzu i odznacza się ładnym położeniem. Składa się obecnie z gminy obsiadłej w znacznej większości przez włościan, wśród których mieszkają rzemieślnicy, a także pomocnicy kancelaryjni i urzędnicy, zatrudnieni w Tarnobrzegu, i z obszaru dworskiego, należącego do hrabiów Tarnowskich.

Powierzchnia gruntów w gminie wynosi 439 ha, dworskich 729 ha, razem więc 1168 ha.

Urodziłem się tu dnia 22 czerwca 1842 roku; w rodzeństwie, składającym się z trzech braci i tyluż sióstr, byłem najstarszy. Rodzina moja, tak z ojca, jak i z matki, była zwyczajną chłopską rodziną, żyli, jak inni w owych czasach – nikt w całej naszej dużej rodzinie nie umiał wówczas pisać ani czytać.

Ojciec mój Józef pochodził z b. Królestwa Polskiego, ze wsi Radowęża. Przyszedł stamtąd do Galicji z dwoma jeszcze braćmi, uciekając przed służbą w wojsku rosyjskim, którą po upadku powstania w roku 1831 trzeba było odbywać w głębokich krajach rosyjskich przez długie lata.

Radowąż leży niedaleko Dzikowa po drugiej stronie Wisły, należy zaś do parafii koprzywnickiej w powiecie sandomierskim. Było tam dawniej wszystkiego ośmiu gospodarzy, mających nieduże grunta, mniej więcej pięciomorgowe, z których odrabiali pańszczyznę w miejscowym folwarku.

Jednym z tych ośmiu gospodarzy był mój dziadek Walenty, który żył przeszło osiemdziesiąt lat, a miał sześciu synów i córkę. Z tych trzech starsi, to jest mój ojciec ze starszym bratem Janem i młodszym Jackiem, przeszli – jak powyżej powiedziałem – na tę stronę Wisły i tu się osiedlili, młodsi zaś: Feliks, Piotr, Walenty i Maria pozostali za Wisłą i jest tam po nich druga połowa rodziny po wsiach: Radowężu, Sośniczanach, Łukowcu i Krzcinie.

Na ojcowiznie w Radowężu został stryj Feliks, a wszyscy inni poženili się na gospodarstwa, wynoszące po kilka morgów. Najdłużej z moich stryjów żyjący Piotr umarł dopiero w roku 1909, dożywszy osiemdziesięciu ośmiu lat. Na pięć lat przed śmiercią odwiedził mnie jeszcze w Dzikowie i był jeszcze tak krzepki, że całą drogę z Sośniczan i z powrotem (przez komorę graniczną w Sandomierzu), wynoszącą około czterech mil, odbył pieszo. Mówił, że nogi ma jeszcze lekkie, i chód go nie męczył.

Ojciec mój ożenił się w Dzikowie na gospodarstwo, które wówczas za pańszczyzny stanowiło sześciomorgową zagrodę (nr domu 25) i według prawa przeszło z czasem na moją matkę, Jadwigę z Gierczyków. Młodsza siostra matki wydaną została na kmiece gospodarstwo osiemnastomorgowe i według ówczesnego zwyczaju otrzymała wiano w inwentarzu żywym i sprzętach domowych. Więcej potomstwa po Gierczykach nie było.

*

Do Dzikowa przyszli jeszcze z Królestwa w tamtych czasach Michał Ozych, Onufry Skrzypczak, Piotr Dudek, Jędrzej Nawrocki i tu się poženili, a i w innych nadwiślańskich gminach dość się wtedy zawiślaków osiedliło i przeważnie powybijali się na lepszych gospodarzy.

O ile pamiętam z opowiadania starszych, wszyscy oni nie mieli żadnych trudności przy osiedlaniu się w Galicji, o przynależność do gminy i poddaństwo austriackie żaden z nich się nie starał, o tym nie było nawet mowy, ale dochodził do tego po prostu tak, że się ożenił na grunt albo otrzymał go ze dworu i od razu był traktowany i uważany, jak każdy inny w gminie zamieszkały. A ożenek też nie był wówczas trudny, bo parobek, który nic nie miał, mógł się żenić u zagrodnika lub

u kmiecia, jeśli tylko miał zdrowe ręce do pracy; przedkładał tylko do ślubu metrykę ze swojej parafii i sprawa była skończona. Dopiero w późniejszym czasie, jak ja już wójtem byłem, podawał się niejeden o przynależność do gminy i obywatelstwo austriackie, i to ludzie najczęściej takich zawodów, jak ogrodnicy, ekonomowie, rządcy, kasjerzy itd. – ze wsiowych żaden się o to nie starał.

*

Z tego, co już sam z dzieciństwa zapamiętałem, najważniejsze wspomnienie odnosi się do roku 1846, do tzw. rabacji galicyjskiej. Pamiętam, jak przez sen, jak ojciec mój wpadł do izby – a właśnie był u nas zabity wieprzek – i wołał do matki i babki: „Gotujta tę wieprzowinę, niech dzieci jedzą i wszyscy, a resztę trza zakopać, bo rabacja idzie, to wszystko zabierają, a i nas zabić mogą!”. Wtenczas całą noc nie spaliśmy, tylko wszyscyśmy płakali, i wielki był strach w domu.

Z późniejszych lat pamiętam dobrze, jak starsi opowiadali u nas w domu i na różnych zabawach, że w owych dniach rabacji hrabia zwoływał gospodarzy ze wsi, należących do niego, i prosił, żeby byli razem z nim do obrony, jakby co wypadło. Gospodarze wszyscy przyrzekli, że pójda w obronie i w zamkowej kuźni ładowali kosy i inną broń do tego. Plan był ułożony taki, że jakby szła czerniawa w te strony, to miał wyjść do niej ksiądz z monstrancją i wszystek lud w procesji z chorągwiami, z Miechocina ku Kajmowu, i wzywać, żeby się wrócili, a gdyby tego wezwania nie usłuchali, to byłaby bitka.

Chronili się wtedy ludzie z innych dworów do zamku dzikowskiego, wszyscy jechali przerażeni, a między innymi jakaś pani, która leżała na bryczce z głową zwieszoną i zakrwawioną, a koło niej krzyczały dzieci. Na koniach piana stała, bo podobno panią tę napadli na drodze od Mielca i byliby zabili, tylko furman podciął konie i ocalił ją.

Nie było wtedy poczt, jak teraz, a poczynawszy od Baranowa ku Mielcowi, gdzie się już rabacja zaczynała, stały warty chłopskie po karczmach, tak, że nikt tam ani nazad nie mógł przejść ani przejechać, nie było przeto dokładnej wiadomości, co się dzieje za Baranowem. Więc dwaj gospodarze z Miechocina: Wawrzyniec Kozieł i Paweł Wiącek, poszli, wysłani przez hrabiego, ażeby przedrzeć się ku Mielcowi i przynieść stamtąd wieści. Gdy doszli do Nagnajowa, już im tam ludzie doradzali, żeby się nazad wrócili, bo może być źle z nimi, ale oni na te przestrogi nie zważali i poszli dalej. Zaledwie jednak przyszli do Annapola, w bliskości Padwi, zastąpili im tam chłopci na drodze przed karczmą, a uznawszy za „szpiegów wysłanych przez panów”, bili w okropny sposób i mordowali, i na miejscu obu zabili, i tam przy drodze pogrzebali, gdzie też dotychczas znajduje się mogiła, przy teraźniejszej szosie krajowej.

Opowiadali starsi, że czerniawa należąca do rabacji szła od wsi do wsi i wszędzie zabierała chłopów ze sobą, i w ten sposób tworzyła się coraz większa banda, a jakby nie chciał kto z nimi iść, to bili i zabijali. Ale w każdej wsi było dosyć takich, co chętnie do nich przystawali: jedni dla rabunku, inni chowali różne zemsty za pańszczyznę, a zresztą robiła swoje wódka, bo gdzie zdybali karczmę, to pili, co się dało, a czego nie wypili, to po pijanemu rozbijali i wylewali.

*

Od szóstego roku życia zacząłem pasać na pastwisku: trzodę, krowy i konie. Wówczas było to w zwyczaju, że z każdego domu musiał być pastuch, chłopak lub dziewczyna. Jeśli ktoś nie miał własnego dziecka, zdolnego do pasania, trzymał służącego-pastucha. Żadnego dziecka wsiowego pasanie nie minęło, każde musiało to przeterminować.

W dziesiątym roku życia straciłem ojca, który w sile wieku zginął tragiczną śmiercią, wracając nocą po Trzech Królach zza Wisły razem z sąsiadem Franciszkiem Mortką. Pamiętam, jak tej nocy przyszli do naszego domu strażnicy austriaccy, którzy pilnowali granicy od przemytników, obudzili dziadka i pytali się, gdzie jest podwójci, tj. mój ojciec, ile ma dzieci itd. Ojca w domu nie było, więc się kazali prowadzić do wójta, gdzie zażądali podwody do Wisły. Gdy podwoda pojechała na wskazane miejsce, znaleźli ojca, leżącego bez życia na brzegu, a Mortka ciskał się jeszcze po ziemi. Zabrali obu do domu: najpierw zwłoki ojca, a potem Mortkę na drugi wóz. Ojca złożyli u nas w izbie na ziemi na prostej słomie. W domu było wiele płaczu i lamentu.

Była to nocna sprawa i trudno było dociec, w jaki sposób ojciec zginął. Strażnicy tłumaczyli się, że tak ojca, jak Mortkę znaleźli nad brzegiem Wisły, żywych, ale niemogących iść o własnej sile, dlatego ich odeszli i udali się na podwodę. Powszechnie jednak przekonanie było takie, że

ojciec razem z Mortką powracali z Radowęża krypą – bo Wisła wtedy nie była zamarznięta – że krypa na środku rzeki się wywróciła, a oni, chwyciwszy się jej końców, płynęli dalej zanurzeni w wodzie i wołali o ratunek. Gdy dobili do brzegu o tej stronie, natknęli się na zwabionych tym wołaniem strażników granicznych, którzy tak do ojca, jak do Mortki mieli złość za przemytnictwo, bo nieraz były sprzeczki i bitki między strażnikami i przemytnikami. A chociaż wtedy ojciec i Mortka wracali z chrzcina od brata i szwarcunku żadnego nie wieźli, strażnicy rzucili się na nich i bili. O tym pobiciu świadczyły znaki, czyli sińce na ciałach, nadto przy sekcji zwłok ojca, odbytej na cmentarzu, stwierdzone było rozbicie czaszki, zapewne wskutek uderzenia piętą od gwera, a co według strażników miało pochodzić od uderzenia głową w krypę. Mortka początkowo odmawiał w tej sprawie zeznania, dopiero przed śmiercią wyjawiał, że zostali przez strażników pobici. Strażnikom owym uszło to wówczas bezkarnie. Byli wprawdzie przyaresztowani do śledztwa, ale wnet zostali uwolnieni i tylko przenieśli ich gdzie indziej, bo w Dzikowie było na nich wielkie oburzenie.

Pozostało nas sześcioro dzieci sierotami, z tego dwoje najmłodszych pomarło w niespełna dwa lata po ojcu, a chowało się nas dalej czworo pod opieką matki i dziadków Gierczyków.

*

W owym czasie nastąpiła w Dzikowie szkołka elementarna, a założyła ją własnym kosztem śp. hr. Gabriela z Małachowskich Tarnowska. Ona to sprowadziła panią, która nazywała się Pawłowska, i wybrała kilkanaście dziewcząt ze wsi, żeby je ta pani uczyła czytać, pisać i robót ręcznych.

Po roku czy dwóch istnienia tej szkółki – a miałem wtedy rok dwunasty – gdy przyszła jesień i bydło przestało chodzić na pastwisko, prosiłem usilnie w domu, żeby mnie posłali na naukę do pani Pawłowskiej. Po długich namysłach posłali mnie i chodziłem na naukę przez zimę. Przez ten czas poznałem abecadło i nauczyłem się składać litery, czyli „ślabizować”, bo wtenczas tak się nauka odbywała, że najpierw pokazywane były wszystkie litery, następnie uczono składać je w słowa – a potem dopiero czytać i pisać; do nauki zaś służyły małe książeczki, zwane groszówkami. Pani Pawłowska lubiła mnie i wyróżniała spośród dzieci, bo do nauki przykładałem się z ochotą i dobrze.

Nauka odbywała się w budynku hrabskim, dziś jeszcze istniejącym przy ulicy Zamkowej. Zaczynała się w jesieni, gdy bydło przestało chodzić na pastwisko, a kończyła na wiosnę, skoro bydło zaczęło wyganiać i dzieci zaczęły pasać.

Pawłowska przestrzegała u dzieci pilności w nauce i przyzwoitego zachowania się w szkole i poza szkołą. Kto się nie uczył, musiał „trzymać osła za ucho”. Ta kara była największym wstydem wobec dzieci i bały się jej najwięcej, więcej niż bicia liną po dłoni, czyli tzw. pacy.

Z końcem roku szkolnego był popis publiczny, czyli egzamin, na którym bywała hr. Gabriela Tarnowska, księża i rodzice dzieci szkolnych. Pawłowska prosiła zawsze, ażeby rodzice na egzamin przychodzili, zwłaszcza gdy dziecko uczyło się dobrze. Dla rodziców było też to wielkim zaszczytem, jeżeli dziecko ich popisywało się dobrze na egzaminie w czytaniu, pisaniu czy rachunkach.

We wsi wszyscy tę panią nauczycielkę poważali, a matki dzieci uczęszczających na naukę zanosili jej, szczególnie w zapusty, na kolędę: kielbasę, jaja, masło itp., choć tego wszystkiego nie potrzebowała i nie prosiła o to, bo miała wikt w zamku. Ona też nawzajem umiała z gospodarzem czy gospodynią porozmawiać i uszanować ich.

Z wiosną, po jednej zimie nauki, przestałem – jak inni – uczęszczać na naukę i całe lato spędziłem na pastwisku. Przestała też istnieć i ta szkółka w Dzikowie. Pawłowska przeniosła się do Radomyśla nad Sanem, gdzie z nią, już po ożenieniu się widziałem. Przy tym spotkaniu jeszcze można było widzieć jej przywiązanie i pamięć o dawnych dzieciach szkolnych. Witła mnie tam, jak czuła matka, pocałowała w głowę i wypytywała troskliwie o tych, co do niej na naukę chodzili.

Przez następną zimę chodziłem jeszcze na naukę do miasta, gdzie wtenczas uczył nauczyciel Karasiński – i na tym się moja nauka szkolna skończyła, tj. chodziłem do szkoły wszystkiego dwie zimy. Dopiero później, gdy zostałem wójtem w gminie, dużom nabrał wprawy w czytaniu, a zwłaszcza w piśmie przy pisaniu gminnym, tak że dziś na moją potrzebę ta nauka mi wystarcza.

Umiem czytać, pisać i porachować, jak mam co.

*

W trzynastym roku życia rozstałem się z pastwiskiem, a zostałem do roboty w polu i koło domu. Gdy miał lat piętnaście, umarła nam matka po krótkiej chorobie na zapalenie płuc w trzydziestym trzecim roku życia, a przedtem dziadek Józef Gierczyk, dożywszy prawie siedemdziesięciu lat, i odtąd chowaliśmy się dalej już tylko pod opieką babki i nieżonatego jeszcze stryja Jacka, który był naszym opiekunem i od śmierci ojca gospodarował na naszym gruncie.

Jak zapamiętałem, całe gospodarstwo było zawsze głównie na głowie babki, Kunegundy z Miśkiewiczów. Do niej należał zarząd domu, ona szła do urzędów, płaciła podatki, załatwiała sprawunki w mieście, na jarmarkach. Ojciec mój i matka nie zaczęli jeszcze samodzielnie gospodarzyć, a dziadek, z natury bardzo spokojny, cichy, nieśmiały na cudze, oddawał się głównie pracy w polu i koło domu.

Oboje byli bardzo pobożni, prawie dzień w dzień chodzili do kościoła oo. Dominikanów, a corocznie pod jesień, na Pocieszenie, na odpust do Radomyśla nad Sanem. Babka do dnia i w dzień przy pracy śpiewała godzinki i pieśni nabożne, a wszystko z pamięci, bo czytać nie umiała. Żyli z sobą zgodnie, a w domu nie było swarów i kłótni, wódkę, jeżeli pili, to w miarę, nigdy nie upijali się.

Nadto babka była w okolicy głośną lekarką bydła, wzywali ją, gdy krowa zasłabła, nie mogła się ocieścić itp. Przyjeżdżali po babkę furmankami o kilka mil, także i ze dworów. Raz jeździła do Wrzaw, do dworu barona Horocha. Dr Babirecki w Tarnobrzegu także ją cenił. Ze dworów brała wynagrodzenie w ziarnie, od chłopów poczęstunek. Była bardzo oszczędna i miała zawsze gotówkę w domu.

Od czasu, jak przestałem pasać, pomagałem w gospodarce, należało wtedy do mnie jako wyrostka poganianie przy orce, włóczenie, radlenie, robota przy sadzeniu, ogrzebywaniu i kopaniu ziemniaków, przy zbiorze siana i żniwie, przy wywózce nawozu itd.

Przy tym noc w noc trza było jechać z końmi na pastwisko lub w swoje pole i spać przy nich bez względu na to, czy była pogoda lub niepogoda. Za posłanie służył jedynie worek próżny, który zresztą nie każdy miał z sobą, pod głowę uzda, na której się konie przyprowadziło. Legowisko musiało się kilkakrotnie w nocy zmieniać, bo za każdym przebudzeniem się trzeba było konie nawrócić i znowu kłaść się przy nich. Mogę tedy powiedzieć, że na pastwisku nie było kawałka ziemi, na którym bym nie spał w ciągu tych lat, jak z końmi na nocną paszę jeździłem.

W zimie zaś przychodziła młocka, rznięcie siewki, zadawanie bydłu paszy, czesanie koni, nadto przyczyniało się mękę na chleb i kaszę jęczmienną i jaglaną nie tylko na zimowe miesiące, ale i na całe lato – słowem, lata wyrostka spędziłem bardzo pracowicie.

*

Zaledwie zacząłem się stawiać parobczakiem, opiekunowie myśleli już o moim ożenku. Wprawdzie wówczas wczesne ożenienie się nie było w zwyczaju, i owszem mężczyzna z reguły nie żenił się przed dwudziestym czwartym rokiem i przeważnie trwali w kawalerstwie do trzydziestu i trzydziestu kilku lat, chodząc na flis, służąc za parobków lub odbywając służbę wojskową, a i co do dziewczyn, rzadko się trafiało, żeby która się wydała przed dwudziestym czwartym rokiem, bo musiała wprawdzie – jak mówili – zapracować sobie u rodziców na wiano. Ale co do mnie, zachodziła ta okoliczność, że nie mieliśmy już ojca i matki i opiekunowie, zwłaszcza babka, chcieli, żebym, ożeniwszy się, wziął jak najrychlej obowiązek gospodarowania na siebie i żeby żona pomocną była w gospodarstwie.

Więc zawczasu starali się o uwolnienie mnie od służby wojskowej, a uwolnienie takie przysługiwało mi, ponieważ byłem najstarszy z rodzeństwa i na mnie spadało gospodarstwo i obowiązek utrzymania rodziny. Dokumenty, zaświadczające to, wysłane zostały do Niska, gdzie wówczas znajdowała się komisja wojskowa reklamacyjna, i stamtąd dostałem wezwanie do stawienia się na oznaczony dzień.

Pamiętam dobrze podróż w tym celu do Niska, odległego stąd pięć mil. Jechało nas trzech: wójt, ja i jeden z moich rówieśników, który także miał się stawić przed komisją reklamacyjną. Babka wywianowiała mnie na drogę z dobrze wyładowaną torbą, jak na tamten świat, bo były

właśnie zapusty i nie brak było w domu szperki i kielbasy; również i u mojego kolegi było tego nieskąpo. W kieszeni miałem od babki parę szóstek.

Do Niska jechaliśmy dzień i noc, bo droga była zła, a do tego i wójt tak komenderował, że co karczma, to stój i pij. Nie byłem zwyczajny takiej pijatyki, więc gdy nad ranem stanęliśmy w Nisku, byłem zupełnie nią zesłabiony. Wołają, że czas do komisji, a ja ledwie na nogach stoję – tak mnie wódka wzmocniła – ale mnie wójt doprowadził. Szczęście, że przed komisją nie kazali się rozbierać i długo mnie nie trzymali, odczytali tylko papiery i ogłosili, że jestem od wojska wolny na zawsze. Z powrotem była jeszcze gorsza poniewierka i pijatyka, ale o tym szkoda pisać.

Tak się szczęśliwie skończyła ta podróż do Niska – ale upijanie się rekrutów, idących do poboru zachowało się, niestety, do dnia dzisiejszego, choć dziś większa oświata i raz już powinien zatracić się ten szkodliwy i haniebnny zwyczaj.

*

Miałem rok dziewiętnasty, jak po raz pierwszy byłem družbą na weselu, gdy żenił się stryj opiekun. Gdy po ślubie goście zajeżdżali do ratusza w mieście, gdzie grała muzyka weselna, musiałem jako „fryc” wjechać do gospody na koniu i stanąć tam przed skrzypkami. Taki był obyczaj, i każdy, kto pierwszy raz družbował musiał tę sztukę pokazać, inaczej musiałby się okupić półgarncem wódki. A sztuka ta nie zawsze była bezpieczna, bo do gospody w ratuszu tarnobrzescim wjeżdżało się po schodach, więc trzeba się było dobrze na koniu trzymać, żeby karku nie skrócić, zwłaszcza że obecni konia podcinali.

Na tym to weselu babka upatrzyła mi narzeczoną, zmówiwszy się z rodzicami jej przy stole. Gdy rzecz między sobą uradzili, przywołali do stołu nas młodych, którzyśmy się dotąd zupełnie nie znali i objawili nam swoją wolę.

Było wtedy powszechnie przyjęte, że rodzice lub opiekunowie sami stanowią o związkach małżeńskich swoich dzieci czy wychowanków i chyba tylko starszy kawaler sam sobie wyszukiwał przyszłą towarzyszkę życia; dziewczyna zaś zawsze prawie musiała iść za wolą starszych, a jeżeli się upierała, to ją nawet pasem po plecach przetrzepali i musiała się zgodzić. Jednakże i po takim przyniewolonym ślubie małżonkowie żyli z sobą przeważnie dobrze, i mniej było dawniej tych niedobrych i nieszczęśliwych małżeństw niż teraz, co się długo kojarzą i z wielkiego kochania.

Ponieważ jednak adwent zachodził, więc zaślubiny nasze zostały odłożone do zapust następnego roku. W międzyczasie było wiele nagabywania z różnych stron, abym się gdzie indziej żenił, przy czym obiecywali dobre warunki – utrzymały się jednak pierwsze swaty i, skoro przyszły zapusty, pojechaliśmy z narzeczoną, w towarzystwie jej ojca i mojej babki, do pacierza i daliśmy na zapowiedzi. Ślub odbył się 30 stycznia 1861 roku w kościele parafialnym w Miechocinie.

Wesele było wielkie, zwłaszcza, że teściowie wydawali pierwszą córkę, a i ja żeniłem się pierwszy z rodzeństwa. Do ślubu jechało czterdzieści fur krewnych, kuzynów, znajomych z Dzikowa, z Machowa, skąd byli teściowie, z Miechocina, Suchorzowa, Ocic, Chmielowa, Tarnobrzega i parę fur z innych wsi. Zabawa weselna odbywała się w Machowie i trwała cały tydzień, muzyka grała u Majorka, gdzie wszystkie wesela machowskie się odbywały. To też pamiętam, że Majorkowi dobrze się powodziło i kiedy się przyszło do niego, zawsze można było zastać mięso koszerujące się w opałkach. Dziś ta cała rodzina jest biedna.

Ja na tym swoim weselu nie tańcowałem, dopiero w ostatni dzień z czwartku na piątek tańcowałem do rana, bo nie umiałem tańczyć, to się na ostatku chciałem nauczyć.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI